

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

14

— Co znowu, kochany baronie — odparł poważnie — pan szaleje widocznie. To pan szuka ze mną sprzeczki, ale nie ja! To dosyć widoczne przecież, u diabła! Jutro odzyska pan spokój normalny i pożałuje pan napewno słów dzisiejszych, których wcale w rachubę nie biorę. Niech się pan tak nie unosi na próżno!

— Ah! Dosyć już tego! — szepnął przez zęby d'Esclairs, posuwając się naprzód.

— Zresztą, tak samo jutro, jak i dzisiaj, nie mam zamiaru okazać się skrupulatnym i oznajmiam panu zgóry, że przyjmuję...

— Co takiego? Co?

— Przepraszam pana.

— Ah! Nędzniku!

I baron w ostatecznym uniesieniu wściekłości szybkim ruchem podniósł rękę, ale kilka osób powstrzymało go równocześnie.

Pułkownik Robert zbladł lekko i zacisnął wargi.

— Oh! Tego już naprawdę za dużo — wymówił z trudem. — Musi mi pan teraz zdać rachunek z tego szalonego postępowania.

— Kiedy pan tylko zechce — odparł baron, prostując się z godnością.

— A więc natychmiast.

— Tak, natychmiast! Tak będzie najlepiej... i jeżeli pan nie jest tchórzem...

Nie było już sposobu załagodzenia sprawy. Baron d'Esclairs dochodził do ostatnich granic uniesienia, gdzie już wszelkie łagodzące słowo i interwencja osób drugich stały się zbyteczną. Gdyby go najbliżsi nie byli siłą powstrzymali, byłby się rzucił na pułkownika Robert i bezwzględnie sam wymierzył sobie satysfakcję.

Wypadek ten podzielał silnie na całe otoczenie. Nikt nie miał już ochoty do prowadzenia dalszej zabawy. Prawie wszystkie kobiety rozbiegły się zaleknione, pociągając za sobą większą część mężczyzn. Koło barona i pułkownika pozostało tylko szczupłe grono przyjaciół, mających nadzieję opóźnienia niechybnego pojedynku przynajmniej do dnia następnego.

Pułkownik Robert wydawał się pozornie dosyć spokojny, ale ręce jego zaciskały się nerwowo i z oczu tryskały błyskawice tłumionego gniewu. D'Esclairs zaś, nie mogąc już zapanować nad sobą, objawiał gorączkowe zniecierpliwienie, gotując się do natychmiastowej walki z przeciwnikiem.

Na rozkaz pułkownika, służący przyniósł dwie szpady i w dziesięć minut później obydważ zważnieni stali naprzeciw siebie, mierząc się nienawistnym spojrzeniem.

Zaimprovizowani świadkowie wybrali przyniesione szpady i cofnęli się o kilka kroków, milczący i zaniepokojeni. Cokolwiek dalej utworzyła się grupa ciekawych, pośród których znajdował się Cyprian Leduc i drugi czarodziej, obydwa w maskach.

— No i cóż, panie Leduc! — odezwał się cicho towarzysz starego archiwisty. — Jakże się to panu podoba?... Cóż pan na to mówi?

— Czekajmy kofica — odparł spokojnie zapytany, śledząc spojrzeniem wszystkie ruchy pułkownika.

— Baron d'Esclairs, to istny szaleniec! Postępuje bardzo lekkomyślnie!

— Nie może inaczej uczynić! Sprowokowany został przez tamtego.

— Oh! Tak pan sądzi?

— To przecież jasne.

— Przypuszcza pan więc, że pułkownik rozmyślnie wywołał tę awanturę?

— Cicho! Cicho! Niech pan uważa!

Świadkowie już dali znak do rozpoczęcia walki. Zaraz z początku d'Esclairs rzucił się na przeciwnika z ślepą wściekłością i widać było, jak błyszczący koniec jego szpady w zawrotnym tempie ocierał się o pierś pułkownika. Ten zaś zachowywał jeszcze spokój i równowagę umysłu. Stał wyprostowany, zimny, odpierając cięcia przeciwnika i twarz jego bez wyrazu, zamknięta w sobie, nie zdradzała żadnego podniecenia.

Ale stan ten nie trwał długo.

Po upływie kilkunastu sekund, okrzyk wście-

kłości wybiegł z piersi barona i ręka jego, trzymająca szpadę, zwiśła bezwładnie ku ziemi.

— Raniony! — zawołał Henryk Berthand, podbiegając spieszenie ku niemu.

— Oh! Lekko bardzo — odrzekł pułkownik. — Załedwie małe draśnięcie... O to mi właśnie chodziło. Baron d'Esclairs będzie zmuszony przez czas jakiś nosić rękę na temblaku i mam nadzieję, że już jutro zapomni o tej niepotrzebnej historii.

Pospieszono zawezwać powóz barona i Henryk Berthand umieścił w nim wygodnie przyjaciela, zalecając mu spokój i rozwagę.

Wszyscy obecni przejęci byli szlachetnym zachowaniem się pułkownika, który umiał z taką delikatnością oszczędzić przeciwnika i całej sprawie nadać obrót zupełnie inny, niż przypuszczano.

Wkrótce rozeszli się wszyscy, a w ogrodzie pozostał tylko Cyprian Leduc i agent.

— Czy pozostaniemy tu jeszcze dłużej? — zapytał ten ostatni. — Nad czym się pan tak głęboko zastanawia?

Stary archiwista podniósł głowę i po twarzy jego przebiegł dziwny uśmiech.

— To szczególnie jednakże! Bardzo szczególnie — wyrzekł poważnie.

— Cóż pan w tem zająsci widzi tak szczególnie? Dla mnie wydaje się to dosyć jasne. Dwóch ludzi posprzeczało się, przychodzi do pojedynku i jeden z nich zadaje drugiemu lekkie draśnięcie. Należy tylko podziwiać rycerskość pułkownika Robert.

— Tak pan przypuszcza?

— Może pan jest innego zdania?

— Nie.

— Jednakże byliśmy obydwa świadkami tego spotkania.

— Tak, tak, widziałem to zarówno, jak i inni — odparł Cyprian Leduc, potrząsając głową. — Ale zdaje mi się, że to nie koniec jeszcze. Poczekajmy do jutra, a może dowiemy się coś ciekawego. Ale pan ma słuszość; nie mamy potrzeby pozostawać tu dłużej. Jednakże jest tu ktoś, który mnie oczekuje i nie mogę odejść bez niego.

— Pana pomocnik — nieprawdaż?

— Tak jest.

Agent zaśmiał się głośno.

— Oh! Jeżeli panu o to tylko chodzi, to może pan odejść stąd spokojnie. Stara Bruchon tu była i wręczyła mu list i, zdaje się, że znajdowało się w nim coś bardzo interesującego, bo znikł, załedwie go przeczytał.

— I w którą stronę się udał? — zapytał stary archiwista niespokojnym głosem.

— W stronę Belleville.

— Belleville? — powtórzył Leduc, wstrząsając się nerwowo. — Ah! Zgaduję teraz wszystko! Nieszczęśliwy chłopiec nie przeczuwa niebezpieczeństwa, jakie tam mu grozi. Ale to się nie stanie... za żadną cenę... ja do tego dopuścić nie mogę w żaden sposób.

I, nie dodając już nic więcej, stary archiwista szybko wybiegł z ogrodu, podążając ku Polom Elizejskim.

XIX.

Jerzy, opuściwszy willę pułkownika Robert, udał się do Belleville, gdzie oczekiwała na niego Gilberta w stanie silnego wzruszenia i niepokoju. Bilecik, otrzymany w tak nieoczekiwany sposób, wywołał na nim głębokie wrażenie, obudzając różnorodne myśli i przypuszczenia. Od ostatniego, nieprzyjemnego spotkania w Saint-Mandé, nie widział wcale młodej dziewczyny i już nawet tracił nadzieję ujżenia jej kiedykolwiek. A tu, w chwili, kiedy już najwyższe wątpliwanie ogarniało go zaczynało, kiedy na próżno dawał sobie pytanie, gdzie Gilberta mogła być ukryta, dochodziło go wezwanie od niej, świadczące, że pamięta o nim jeszcze i pragnie go widzieć. Z treści odebranego biletu Jerzy powtórzał sobie tylko jedno zdanie, które go najwięcej uderzyło: „Kocham Cię i czekam na Ciebie.” Ale, jadąc w stronę Belleville, mimowoli przywodził sobie na pamięć i inne ustępy, zalecające mu ostrożność i rozwagę. Oczekiwano na niego w pasażu Duée; miał ujrzeć małe światelko, błyszczące w ostatnim oknie pierwszego piętra. Kazano mu zapukać trzykrotnie do drzwi, wychodzących na pasaż.

Przybywszy na ulicę Pixecourt, Jerzy wyskoczył z powozu, kazał dorożkarzowi oczekiwać na siebie i wszedł w wąską, ciemną pasaż.

Była już godzina pierwsza po północy. Załedwie jednak uszedł kilkanaście kroków, za-

trzymał się wzruszony, z sercem bijącym. Na prośbę uiego wznosił się dom, tonący w zmroku, ledwie dostrzegalny, którego tylko jedno, jedyne okno było słabo oświetlone. To był pokój Gilberty! Silne drżenie przebiegło jego ciało. Na myśl, że młoda dziewczyna znajduje się tam, za tem oknem i oczekuje go z ułasknieniem, doznał rozkosznego olśnienia. Wrażenie to tak go osłabiło, że nie mógł kroku postąpić. Po chwili jednak odzyskał równowagę umysłu i trzykrotnie klasnął w ręce.

Równocześnie prawie światło w oknie zagasło i pojawiło się wkrótce na dole, schodząc aż do ogrodu. Lekki szmer kroków dobiegł do Jerzego i żelazna furtka otworzyła się z lekkim zgrzytem.

— To ty, Gilberto?

Nie mogąc zapanować nad sobą, Jerzy pochwycił w ramiona młodą dziewczynę. Gilberta drżąc, bez siły, poddała się biernie temu uściskowi.

— To ty, Gilberto? To ty? — szeptał Jerzy, oszalały z radości — A ja już zważyłem na swoją szczęśliwą gwiazdę i oskarżałem los, który nas tak bezwzględnie rozdzielił! Sądziłem, że cie nie ujrzę już więcej! Ah! Gilberto! Jaka ty jesteś dobra i jak mnie czynisz szczęśliwym!

— Nie możemy tu pozostać dłużej. — wymówiła z trudem młoda dziewczyna — Gdyby nas kto ujrział! Gdyby się ktoś domyślił!...

— A któżby mógł nas tu podpatrzeć?

— Nie wiem... nie wiem, ale obawiam się! Jerzy... obawiam się bardzo... Chodź za mną!...

Pociągnęła go do wnętrza domu, a kiedy znaleźli się w pokoju, kazała mu usiąść blisko siebie.

— Namyślałam się długo, zanim odważyłam się napisać do ciebie — rzekła, odciekawszy z ulgą — ale prześladowała mnie myśl, że czuć się musisz bardzo nieszczęśliwym. Ja również cierpiałam bardzo nad tem okrutnem rozłączeniem i chwyciłam się pierwszej sposobności, aby cię móżd zobaczyć.

— I skorzystałaś z zabawy, którą wydaje pułkownik Robert.

— Właśnie.

— Ależ ten człowiek ukrywa jakieś tajemnicze powody, aby cię więzić w ten sposób, Gilberto?

— Powody te nie są mi znane. — odparła smutnie młoda dziewczyna.

— Do czegoż on dąży?

— I tego wiedzieć nie mogę.

— Więc nie wyjaśnił ci nigdy swojego postępowania? — badał dalej Jerzy.

— Powiedział mi tylko, że jesteś moim wrogiem, że nie powinnam cię już nigdy widzieć i, jeżeli sprzeciwię się jego rozkazowi, spotkać mnie może hańba, a ciebie, Jerzy, śmierć pewna.

Wymawiając te słowa, młoda dziewczyna tak drżeć zaczęła, że Jerzy pochwycił ją w ramiona, starając uspokoić.

— Ah! Gilberto moja! — wymówił wzruszony, głaszcząc pieszczotliwie jej jasne włosy — Błagam cię, nie poddawaj się tak smutnym myślom i nie obawiaj się ani o siebie, ani o mnie. Pamiętaj, że nigdy miłości mojej wstydić się nie będziesz potrzebowała. Mnie również nienawiść, czy gniew tego człowieka w niczem dotknąć nie może. I gdybym wiedział, że kiedykolwiek stać się mogę przyczyną twoich łez, czy smutku, wolałbym tu, na miejscu, u nóg twych odebrać sobie życie!

— Jerzy! Jerzy! Co mówisz? — zawołała Gilberta, tuląc się do niego z ufnością!

— Kocham cię, Gilberto! Czy nie wiesz o tem? — zapytał poważnie młody człowiek.

— Tak, kochasz mnie... czuję to i wierzę, i przywiązanie twoje jest jedyną radością mojego życia i jedyną pociechą w tych strasznych przejściach. Ale pomimo to, widzisz Jerzy, smutek jakiś ciężki ogarnia mnie często i zapytuję się z lękiem, co się stanie z nami w przyszłości, co nam przyniesie ta miłość?

— A więc ja ci odpowiem, Gilberto, posłuchaj mnie tylko! — rzekł silnym głosem Jerzy, przyciągając jeszcze bliżej do siebie młodą dziewczynę — Musimy uciekać!

— Uciekać?! — powtórzyła z przestachem.

— Tak! Uciekać! Musisz opuścić jak najprędzej ten dom, w którym czyhają na ciebie niebezpieczeństwa różne, opuścić tego człowieka, który nie śmie otwarcie wyznać, kim jest i do czego dąży.

— Ale gdzież chcesz, żebym się schroniła, Jerzy! — szepnęła bezsilnie Gilberta.